



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: PRAWDY I PÓLPRAWDY

Na początku listopada Telewizja Polska przypomniała film, który już dawno zszedł z ekranów kinowych, nakręconą we Francji chyba z góra dwadzieścia lat temu przez Titusa Vibe Müllera i Joan Drecille, „Bitwę o ciężką wodę”. Treścią tego „dramatu wojennego” jest autentyczny epizod z czasów II wojny światowej, uwieczniona pełnym sukcesem próba zniszczenia przez komandosów brytyjskich fabryki tzw. „ciężkiej wody” w Norwegii, wówczas znajdującej się pod okupacją niemiecką. „Ciężka woda” miała niezwykle ważne znaczenie przy pracach nad wyprodukowaniem bomby atomowej. Chodziło o to, aby niszcząc fabrykę, opóźnić badania uczonych niemieckich pracujących intensywnie nad rozbiciem jądra atomu uranu.

Müller i Drecille mieli przed sobą zadanie ambitne, choć najeżone niebezpieczeństwami popadnięcia w łatwe efekciarstwo, w sensacyjność, w epatowanie widza pirotechniką oraz zręcznościowymi popisami filmowymi komandosów-śmiałków spadających z ośnieżonych górskich szczytów „niczym orły” na wytyczony cel. Na szczęście, kręcąc „Bitwę o ciężką wodę”, twórcy poszli w kierunku fabularyzowanego dokumentu (czy też może: „dokumentalizowanej” akcji fabularnej?), kładąc główny nacisk na ukazanie historycznej prawdy o akcji komandorów w Norwegii, na przybliżenie widzowi ówczesnych wypadków i zapoznanie go z istotą problemu. Więcej: swoją filmową opowieść historyczną rzucili na tło całego wielkiego międzynarodowego konfliktu. Wiodąc publiczność górskimi ścieżkami Norwegii w kierunku fabryki „ciężkiej wody” ukazując codzienny, nieefektowny trud komandosów, wprowadzili jednocześnie akcję równoległą: fragmenty autentycznych kronik filmowych z owych dni pokazywały, co działo się na frontach, w sztabach wojennych, o czym myśleli i mówili przywódcy stojących naprzeciw siebie narodów. W „Bitwie o ciężką wodę” najważniejszy więc był dokument. Fabuła stanowiła w tym filmie warstwę pomocniczą, wspierającą. Była sprawą umowną. Służyła przybliżeniu prawdy historycznej, a nie - przetworzeniu faktów historycznych w jakąś artystycznie uzasadnioną prawdę uniwersalną. I - o paradoksie! - „Bitwa o ciężką wodę” wcale mimo to nie traciła cech dzieła sztuki...

Oglądając ten film, przypomniałem sobie od razu pierwsze powojenne dzieło René Clémenta, nakręconą przez niego w 1945 r. słynną „Bitwę o szynę”, film o ruchu oporu wśród francuskich kolejarzy. Na pewno było w nim więcej szerokiego oddechu, więcej pasji twórczej, dzięki którym zahuczał niczym ekspres na światowych ekranach. Ale przecież „dokumentalistyczna” opowieść Clémenta miała to samo założenie co film Müllera i Drecille - ukazanie historycznej prawdy, stworzenie pewnego dokumentu, przy posłużeniu się możliwie najbardziej prostym, najbardziej „bezosobowym” wątkiem fabularnym.

Dwa lata wcześniej angielski reżyser Charles Frend budował akcję filmu „San Demetrio” w oparciu o autentyczną historię brytyjskiego tankowca storpedowanego przez niemiecką łódź podwodną, a następnie ocalonego przez część załogi, która, ratując się na szalupach, trafiła po wielu godzinach krążenia po morzu na własny... płonący statek. W 1955 r. Andrzej Munk w swym pierwszym fabularnym filmie, „Błękitnym Krzyżu”, sięgnął również do autentycznych wydarzeń z czasów okupacji: działalności członków „pogotowia tatrzańskiego” w podhalańskim mchu oporu. Choć autentyczne wydarzenie było w tym wypadku punktem wyjścia do mówienia o prawdach uniwersalnych, reżyser zrealizował przecież swoją „fabułę”, posługując się metodą dokumentalną; dał w „Błękitnym Krzyżu” wizerunek uczuć patriotycznych, stanu ducha, przekonań oraz morale tamtejszych Polaków. Zagrali w filmie, nawiasem mówiąc, poza jednym wyjątkiem, sami „natuszczycy”. Niektórzy z nich brali kiedyś udział w takich, jak pokazana w „Błękitnym Krzyżu”, akcjach.

Liczne filmy z ostatnich lat, szerokoekranowe barwne, pełne niezwykłych „przygód” filmy wojenne, szczególnie te o akcjach komandosów: „Działa Nawarony”, „Tylko dla orłów”, „Parszywa dwunastka” czy też „Ucieczka na Atenę” - z dokumentem epoki, z prawdą o czasach i ludziach, których jakoby opowiadają, mają w istocie niewiele wspólnego. Głoszą półprawdy, często - ćwierć prawdy, spowite w efektowne opakowanie. Tak też należy je odbierać i oceniać.

Podobnie zresztą, jak warto nauczyć się rozróżniać prawdy, półprawdy i ćwierćprawdy, które przynosi nam codziennie nasz stały, domowy „szklany gość”.